Wychowanie seksualne i sensualne

"Oto my, nadzy kochankowie,
piękni dla siebie - a to dosyć -
odziani tylko w listki powiek
leżymy wśród głębokiej nocy."
(Wisława Szymborska, "Jawność")

Mówi się, że szkoła przygotowuje do zawodu, a dom wychowuje do życia. Trzecim czynnikiem jest środowisko i jeśli harmonijnie ze sobą się łączą, gdzie trzeba, i dzielą, gdzie jest to konieczne, to młody człowiek wchodzi w życie odpowiednio przygotowany. Tyle stan idealny. W rzeczywistości jest najprzeróżniej. Niestety zbyt często przygotowanie młodych ludzi do dorosłego życia, czy to zawodowego, czy prywatnego, jest dalekie od harmonii. Bo szkoły są niedoskonałe, bo rodzice też dalecy od ideału, bo ich przygotowanie do wychowywania kolejnego pokolenia także pozostawia wiele do życzenia.

Niektóre dzieci z różnych przyczyn trafiają do tzw. placówek opiekuńczo-wychowawczych, dawniej zwanych domami dziecka, jeszcze dawniej sierocińcami, czasami ciągle jeszcze potocznie bidulami. Nazwy te, niestety, nie kojarzą się najlepiej, pierwsza zbyt chłodna, urzędnicza, pozostałe zbyt obarczone tym, czym były w przeszłości, przytułkami dla poszkodowanych przez los. Dziś mieszkają tam i wychodzą stamtąd w świat młodzi ludzie jak wszyscy inni posiadający komórki, ubierający się w markowe ciuchy, ciekawi życia, marzący o szczęściu, a przede wszystkim pragnący kochać i być kochanymi. I mają do tego dokładnie takie samo prawo, jak każdy inny człowiek. Taka jest nasza biologia i taka jest nasza metafizyka.

Jak zatem odbywa się przygotowanie do życia w placówce opiekuńczo-wychowawczej, gdzie zamiast rodziców są wychowawcy, zamiast domu (mieszkania) rodzinnego budynek placówki? Czy placówka może przejąć rolę rodziców w przygotowaniu do życia uczuciowego, seksualnego, intymnego? Zapytałam o to wychowawcę z czteroletnim stażem w jednej z krakowskich całodobowych placówek. Wychowawca ten ukończył pedagogikę resocjalizacyjną i wykonuje swój zawód z prawdziwą pasją, z powołania. Celem placówki jest zapewnienie opieki i wychowania dzieciom osieroconym społecznie lub biologicznie. Jeżeli dziecko ma oboje rodziców lub przynajmniej jedno, ale z jakichś powodów sąd orzekł, że rodzina wymaga wsparcia w wychowywaniu dziecka, dziecko trafia do placówki.

Prawnie reguluje to ustawa z dnia 9 czerwca 2011 o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. Zgodnie z nią placówka ma zadbać o skuteczną pomoc dla "*rodziny przeżywającej trudności w opiekowaniu się i wychowywaniu dzieci przez współpracę wszystkich osób, instytucji i organizacji*", a wszystko to "*dla dobra dzieci*". Zadaniem placówki, jest "*szczególna ochrona i pomoc ze strony dorosłych w celu zapewnienia dzieciom środowiska rodzinnego, atmosfery szczęścia, miłości i zrozumienia, w trosce o ich harmonijny rozwój i przyszłą samodzielność życiową, dla zapewnienia ochrony przysługujących im praw i wolności*".

Czyli w teorii pięknie. A jak to wygląda w praktyce? Z opisu mojego rozmówcy wynika, że placówka, w której pracuje, rzeczywiście bardzo pozytywnie odbiega od dawniejszych podobnych ośrodków. Dziś rzeczywiście dba się nie tylko o dach nad głową, wykarmienie wychowanków oraz przygotowywanie ich do zawodów. Dziś dziecko ma szansę rozwijać swój potencjał, wybrać sobie zajęcia odpowiadające jego temperamentowi i talentom, zajmować się ulubionym sportem, uczyć się samodzielności (młodzież ma dyżury w robieniu zakupów, w gotowaniu i sprzątaniu, wolność w gospodarowaniu swoimi kieszonkowymi), marzyć i dążyć do realizacji swoich marzeń.

Starsi wychowankowie zajmują dwuosobowe pokoje, w placówce jest telewizja i Internet. O pozwolenie na oglądanie filmów czy transmisji sportowych trzeba pytać, ale w domu też się trzeba liczyć z pozostałymi członkami rodziny. Internet objęty jest kontrolą wychowawców, ale nie dlatego, że jest to akurat placówka, a

dlatego, że Internet niesie z sobą różne niebezpieczeństwa i jeśli w domu rodzice nie mają nad tym kontroli, to źle a nie dobrze. Wychowankowie chodzą do publicznych szkół, lekcje odrabiają w placówce pod okiem opiekunów, chodzą na dodatkowe zajęcia, wyjeżdżają na letnie i zimowe wakacje. Bywa, że dostają przepustki i spędzają wolny od nauki czas ze swoimi bliskimi.

Czy jednak można założyć, że te, siłą faktu, krótkie kontakty z rodzicem czy rodzicami wystarczają na dopełnienie tego, czego dzieci nie wynoszą ze szkoły i placówki? Że w ogóle rodzice, którzy zgodnie z postanowieniem sądu musieli oddać swoje dziecko do placówki, są w stanie przygotować w bardzo ograniczonym czasie dziecko do tak złożonej dziedziny życia, jak życie uczuciowe? I to w kraju, w którym ciągle jeszcze toczą się boje o wprowadzenie lekcji wychowania seksualnego do szkół a wyprowadzenie lekcji religii do salek parafialnych?

A jeżeli nie rodzice i nie nauczyciele, to kto? Mój rozmówca powiedział mi, że w placówce praktycznie nie ma miejsca na ten temat, na rozmowy aż tak prywatne, żeby nie powiedzieć intymne z wychowankami lub urządzanie im wspólnych pogadanek uświadamiających, zresztą nikt z wychowawców nie miałby odpowiedniego przygotowania. Jeśli nie szkoła, nie nauczyciele, to tym bardziej nie oni! Między wychowawcami a wychowankami jest to temat tabu. Niestety, z poważnymi konsekwencjami.

Po osiągnięciu dojrzałości prawnej wychowankowie opuszczają placówkę do życia w tej dziedzinie bardzo marnie przygotowani, lub, co gorsza, przygotowani opacznie. Dziewczęta kończą zbyt często szybkimi nieplanowanymi ciążami z przygodnymi partnerami, jak sobie radzą chłopcy, nie wiadomo, bo z dzieckiem w brzuchu nie zostają, ale przecież to spośród nich mogą się rekrutować ci przypadkowi ojcowie. Z drugiej strony trudno się dziwić, że, jak wszyscy młodzi ludzie, o ile nie bardziej, pragną uczuć, bliskości drugiej osoby, czułości, seksu.

Tymczasem od czasów rewolucji seksualnej w latach 60. zeszłego wieku i coraz powszechniejszego stosowania środków antykoncepcyjnych seks uwolnił się od przymusu pobierania się na resztę życia i tego procesu nie da się odwrócić. Seks przedmałżeński stał się w naszym "zachodnim" społeczeństwie praktycznie normą, obniżenie wieku inicjacji przy przesunięciu się wieku zawierania małżeństw oraz zwiększenia się ilości rozwodów spowodował, że bez wiedzy na temat własnej seksualności, antykoncepcji a także świadomości własnych uczuć nie da się żyć. Na dodatek doszło niebezpieczeństwo zachorowania na AIDS.

Równocześnie w społeczeństwie konsumpcyjnym seks stał się przedmiotem różnych merkantylnych manipulacji, choćby reklam od płatków śniadaniowych zaczynając, na samochodach kończąc. Jest wszechobecny w mediach, w Internecie, w powietrzu. Należy jednak obalić mit o tym, że "dawniej było lepiej". Nie, nie było! Dziewczęta wydawano za mąż w bardzo młodym wieku kompletnie zielone i odtąd chodziły w ciąży całe życie, które często mogło się skończyć przy którymś z kolejnych połogów.

Młodzi kawalerowie mieli o tyle lepiej, że mogli się najpierw "wyszumieć", tyle że szumieli albo kosztem jakichś Telimen czy Podstolin lub dziewcząt z niższych warstw społecznych, albo po prostu prostytutek, co wyglądało tak jak chciała doktryna św. Tomasza z Akwinu: "*Domy publiczne uważano za instytucję chroniącą od większego zła (tzn. od rozbijania małżeństw i stosunków ludzi nieżonatych z porządnymi dziewczynami*" (Mikołaj Kozakiewicz w "Kobieto ty wieczna istoto" wg Marcelina de Fourneaux). Część z nich zresztą kończyła młodo na którymś z licznych pól bitew. Poza tym choć nie było AIDS, za to szerzyły się inne choroby weneryczne. A leczenie było mizerne.

Więc nie, nie było lepiej! Nigdy nie jest lepiej, gdy nie ma wiedzy, świadomości swojego ciała i prawdziwych uczuć wyższych, za to są mity, zakazy i kary. Dlatego społeczeństwo współczesne dąży do zdobywania wiedzy na ten jeden z najbardziej istotnych tematów życia. Napisano już całe biblioteki na temat życia płciowego w każdym z możliwych aspektów a temat jest otwarty i nieustannie uzupełniany o nowe spostrzeżenia. Jesteśmy w lepszej o niebo sytuacji nie tylko wobec ludzi z dawnych wieków, ale nawet zupełnie niedawnych lat, gdy ledwie odkrywano, czym jest seks i jak się z nim obchodzić, żeby nie było z tego niechcianych dzieci.

Mamy opracowania historyczne, mamy książki popularno-naukowe, mamy też sztukę, film, literaturę piękną, poezję... Szkopuł w tym, żeby się chciało czytać, chodzić do kina, na wystawy, samemu odkrywać w sobie talenty... I tego można się uczyć i uczyć nasze dzieci, wszystkie, te "swoje" i te w placówkach wychowawczych, bo one też są nasze, współtworzą społeczeństwo dokładnie tak samo jak te wychowywane w bardziej komfortowych warunkach.

Dlatego jeśli już nie ma w szkołach odpowiednich lekcji (choć to jest skandal!) a w placówkach wychowawczych odpowiednio przygotowanych wychowawców (bo gdzie mają się przygotowywać?), to przynajmniej biblioteki powinny być na bieżąco uzupełniane a w kolejnych pokoleniach wyrabiana kultura czytania. Rzecz w tym, żeby w społeczeństwie wyrobiła się świadomość chcianego macierzyństwa przy jednoczesnej odpowiedzialności za ojcostwo a przedtem świadomego podejścia do przyjemności, jaką niewątpliwie jest flirt, pożądanie, miłość, zmysłowość, seks...

*

A teraz spójrzmy na zagadnienie z całkiem drugiego końca. Wychowawca, który był tak miły i opowiedział mi o swojej pracy, ma kilkunastoosobową grupę koedukacyjną (wg ustawy może to być max 14 osób) w wieku ok.14/15 do 18 lat. Czasami stara się przekazywać jakieś swoje doświadczenia z prywatnego życia, jakie prowadzi ze swoją młodą żoną, ale bynajmniej nie intymne, tego nie zrobiłby ani on, ani jego wychowankowie by tego nie kupili. Ot, *en passant* opowiada na przykład o tym, że podział obowiązków w ich gospodarstwie jest płynny, że wymienia się z żoną domowymi pracami, bo tak im wypadnie, bo obydwoje pracują, bo szczęśliwie jest równouprawnienie.

Równocześnie niepokoi go to, że "jego" młodzież nie ma świadomości braków, pieniędzy jest zawsze tyle, ile ma być, na wszystko ma wystarczyć, nawet jeśli on i jego żona muszą się bardzo starać, żeby ze swoich pensji opłacić wszystko co trzeba. Na jednego wychowanka państwo wydaje ok. 3000. złotych, on na rękę zarabia ok. 1900 złotych z dyżurami nocnymi, świętami i premiami.

W dorastających młodych ludziach może to wyrobić postawę roszczeniową, w nim natomiast uczucie, że coś tu nie gra. I choć wybrał swój zawód z zamiłowania do pracy z młodzieżą, demotywuje go świadomość, że jeśli trafiłaby się lepiej płatna praca, odszedłby z tej. Trudno w takiej sytuacji wymagać, żeby się aż tak bardzo starał i z własnej inicjatywy wypełniał luki wychowawczego programu. Owszem, pracuje chętnie, chce jak najlepiej dla swoich podopiecznych, ale coś tak ważnego, jak przygotowanie do świadomego życia uczuciowego powinno być prowadzone przed odpowiednio do tego przygotowanych pedagogów. On sam, jego żona także, musieli sobie też sami poradzić z tym tematem.

Tak, wychowanie seksualne to w Polsce ciągle jeszcze temat trudny nie tylko w szkołach, nie tylko w placówkach wychowawczych, ale także w rodzinie. I tak się to powiela z pokolenia na pokolenie. Dlatego opowiem, jak się to u mnie odbywało, bo choć w dzieciństwie myślałam, że każde dziecko jest w życie intymne podobnie wtajemniczane, jak ja byłam, od dawna wiem, że miałam wyjątkowe szczęście do mamy, która rozumiała, jak to robić.

Przede wszystkim mama bardzo dużo ze mną rozmawiała, gdy czytałam jakąś książkę, lub oglądałam jakiś film, mama cierpliwie wypytywała mnie o ich treść, o moje przemyślenia, o moją opinię i nakierowywała mnie na stawianie sobie coraz to nowych zagadnień, które razem ze mną starała się przedyskutować. Tym sposobem temat wzajemnych relacji męsko-damskich pojawiał się w naszych rozmowach w najprzeróżniejszych kontekstach. Tato był z tych rozmów wyłączony, to był temat między nami kobietami. Częściej rozmawiałyśmy na "te tematy" w czasie wakacji, gdy wyjeżdżałyśmy czasami same, bez taty (mojej dużo młodszej siostry nie liczę, bo miała z racji wieku inne zainteresowania i pytania).

Pakowałam się do mamy do łóżka i gadałyśmy sobie przed snem na różne tematy. W ciemności dużo łatwiej omawia się sprawy, które w świetle dziennym są krępujące. Tym samym mama mnie sukcesywnie od dziecka wtajemniczała skąd biorą się małe zwierzątka na świecie, a potem małe dzieci, a potem jaki udział ma w tym

kobieta a jaki mężczyzna. Pytania same się nasuwały. Miałam 8,5 lat, gdy już zasadniczo wiedziałam, że mężczyzna ma swój niebagatelny udział w "robieniu dzieci". Miałam też niejasne ale przechodzące w pewność uczucie, że jest to coś bardzo przyjemnego.

Jako nastolatka zaczęłam doznawać i tego uczucia, że przyjemnie jest się chłopcom podobać. Ale też czułam, że pewnych granic lepiej nie przekraczać, to przychodziło stopniowo i naturalnie. Swoje doznania weryfikowałam w rozmowach z mamą, robiłam jednak i to doświadczenie, że między mną i nią jest także miejsce na tajemnice. W miarę, jak stawałam się doroślejsza, coraz wyraźniej uświadamiałam sobie, że jestem osobnym człowiekiem.

Rozmowy z mamą, lektury, filmy, piosenki, wymienianie doświadczeń z przyjaciółkami, podkochiwanie się w chłopakach pozwoliły mi stopniowo wchodzić w obszar ludzi dorosłych. Czasami krok do przodu dwa do tyłu. Tak przekroczyłam osiemnastkę. Wtedy po raz pierwszy zakochałam się "na poważnie". Dodam dla jasności, że o antykoncepcję zadbała moja mama. W Krakowie było Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa, funkcjonowało od połowy lat 50. A to był początek lat 70., kto chciał, kto miał tego świadomość, ten trafiał pod ten adres. Mnie wprowadzała w ten etap mojego życia mama i bardzo miła pani lekarka.

Opisuję to tak dokładnie, bo chcę podkreślić, że wychowanie seksualne to jest proces, nie załatwia tego ani jedna rozmowa, ani jedna lekcja w szkole, to już musi być kombinacja dostosowanych do stopnia rozwoju dziecka rozmów oraz lekcji w szkole, choć trudno mi sobie wyobrazić, żeby klasa mieszana to był dobry pomysł. Dzieci a potem nastolatki są bardzo wrażliwe, trzeba umieć uszanować ich skrytość, chwiejność uczuć, brak pewności siebie, wtajemniczać je w tak delikatną dziedzinę życia jak sprawy płci z wyczuciem, rozumnie.

Nie wiem, jak można by to zrobić hurtem w placówce wychowawczej. Jedyny pomysł jaki mi przychodzi do głowy to nienachalne nakłanianie młodzieży do czytania książek (oglądania filmów) i aranżowanie debat pod okiem wychowawców i wychowawczyń [1]. Moim zdaniem powinno się odbywać z podziałem na chłopców i dziewczęta. Nie razem. Obok zagadnień psychicznych, fizjologicznych i etycznych ważne jest wprowadzenie młodych ludzi w tajniki antykoncepcji. Niezostawianie ich samych z tym problemem. To także z poszanowaniem naturalnej potrzeby dyskrecji. Bez naruszania intymności i godności młodziutkich dziewcząt i chłopców.

*

Esej dla pisma "Edukacja i Dialog" na podstawie wywiadu z wychowawcą w jednym z krakowskich placówek opiekuńczo-wychowawczych oraz własnych przemyśleń i doświadczeń. Bardzo dziękuję mojemu Rozmówcy za naświetlenie mi problemu ze strony swojego zawodowego doświadczenia i obserwacji.